

Emil Chróściak

Bo nikt nie wiedział, że tu jest Polska...

Rocznik Chojeński 3, 254-261

2011

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach
dozwolonego użytku.

* * *

Emil Chróściak

Zespół Szkół Ponadgimnazjalnych Nr 1 w Gryfinie

Bo nikt nie wiedział, że tu jest Polska...

21 listopada 2010 r., wieczór. Całe Lubanowo pogrążone we mgle. Widoczność na drodze z Gryfina do Bań jest wyjątkowo utrudniona, dlatego na miejsce docieram dopiero po czterdziestu minutach. Dom mojej prababci nie zmienił się, od kiedy pamiętam. No może za wyjątkiem kasztana, po którym został już tylko pień. Poniemiecki dworek, wciąż prezentuje się niezwykle okazale. Jest wyjątkowo zimno. Pukam do drzwi, ale nikt przez długi czas nie otwiera. Po dłuższej chwili słyszę przez drzwi – Kto tam? – To ja babciu, Emil – odpowiadam. – A! Emilek! Wejdz, nie marznij na dworze! W domu jest bardzo ciepło. Siadam przy stole, wyciągam notatnik, długopis i dyktafon. Babcia przynosi gorącą herbatę i ciasto. Jak zwykle zachęca mnie do jedzenia. Doskonale zna powód mojej wizyty. Ciepłym, choć lekko smutnym uśmiechem, zaczyna swoją opowieść...

Wyjazd „na szwarc”

Moja babcia, Józefa Kostecka urodziła się 8 marca 1927 r. w Malanowie w Wielkopolsce. Losy jej rodziny były niezwykle. Była córką Ignacego Pietrowa, białogwardzisty, wziętego do niemieckiej niewoli podczas pierwszej wojny światowej oraz Marianny Janickiej. Tych dwoje ludzi połączyła wojna. Marianna jako panienska wyjechała pracować do Niemiec. Pracując w majątku Hof-Gischow poznała Ignacego, szarmanckiego, rosyjskiego jeńca wojennego. Chodzili ze sobą, aż do zakończenia wojny, lecz nie mogli się pobrać. – Jej ukochany nie był katolikiem, a do tego był jeszcze niewolnikiem – opowiada babcia. Marianna mogła wrócić do domu w przeciwieństwie do Ignacego, którego zwolniono z obozu dopiero miesiąc później. Wróciła do Polski, do rodzinnego Malanowa. Wtedy okazało się, że jest w ciąży. Jej matka wpadła w szal. – Wyrzuciła ją z domu widłami jako niegodną rodziny – mówi babcia. Marianna postanowiła wrócić do Niemiec. Wtedy na nielegalny wyjazd do Niemiec mówiło się „na szwarc”. Przeszła pieszo przez granicę w mniej pilnowanym miejscu. Schronienie znalazła u pewnej niemieckiej rodziny. Przygarnęli ją, a po dwóch tygodniach urodziła syna Bolesława. Mariannie udało się odszukać ukochanego! Okazało się, że Ignacy nie mógł wrócić do domu. Pochodził z bardzo bogatej rodziny z Tobolska. Podczas gdy on był w Niemczech, w Rosji wybuchła rewolucja. Jego

matkę zamordowano, a ojciec, bracia i siostra musieli uciekać z kraju. Otrzymał list od jednego z braci, w którym sokiem z cytryny napisano: „Jeśli możesz nie wracaj!”. Tak oto rosyjski magnat stał się zwykłym robotnikiem. Ignacy i Marianna postanowili wrócić do majątku Hof–Gischow. Niestety dotknęła ich kolejna tragedia. Po drodze zmarł ich synek Bolesław. Niedługo potem Marianna powiła kolejnego syna Władysława. W 1921 r. udało im się wreszcie wyjechać razem do Malanowa, gdzie Ignacy przeszedł na katolicyzm by wziąć ślub z Marianną. W Polsce urodziły im się kolejne dzieci: Janina, która zmarła rok po urodzeniu oraz Józefa – moja babcia. Niestety zarówno Ignacy jak i Marianna nie znaleźli pracy w Malanowie. Postanowili, że wrócą do Niemiec, lecz nie mogli wyjechać razem z dziećmi z obawy przed tym, iż Niemcy nie przyjmą ich do pracy. Wyjechali na wyspę Rugię. Dziećmi opiekowała się ich matka Marianna, która z czasem zaakceptowała małżeństwo swej córki. Marianna jednak bardzo tęskniła za swymi dziećmi. Przez kilka lat wracała do domu tylko na zimę. Mimo starań Ignacego Niemcy nie pozwolili mu przywieźć dzieci ze sobą. Wiosną 1928 r. Marianna postanowiła przewieźć dzieci nielegalnie.

– Wszystko się nam udało – wspomina babcia. Niemiecki właściciel majątku nas zaakceptował, a nawet ucieszył się z tego, że mama przewiozła dzieci. Jednak nasza radość nie trwała długo. Pewna polska kobieta poinformowała niemieckie władze o nielegalnym wywiezieniu dzieci z Polski. Rodzice musieli zapłacić ogromną karę pieniężną. Jednak i tym razem nasz chlebodawca przyszedł nam z pomocą, dając mamie pracę w kuchni. Zarabiała więcej i jednocześnie mogła opiekować się nami – ciągnie swą opowieść babcia. Wszystkie dzieci musiały pójść do szkoły. – Widziałam na własne oczy Hitlera. Przyjechał kiedyś na Rugię. To było święto dla całej naszej szkoły. Wręczaliśmy mu kwiaty, recytowaliśmy wiersze i śpiewaliśmy piosenki. Głaskał dzieci po głowach – opowiada babcia. – W 1942 r. rodzice pracowali już 20 lat w Niemczech, więc musieli przyjąć obywatelstwo, bo przez wszystkie te lata byliśmy „bezpaństwowi”. Od 1939 r. do majątku, w którym mieszkaliśmy Niemcy zaczęli przywozić polskich jeńców wojennych. Wśród jeńców znalazł się Zygmunt Kostecki, polski ułan pochodzący z okolic Lublina. Do niewoli dostał się jeszcze podczas Kampanii Wrześniowej. – Z czasem Zygmuś przebywał u nas coraz częściej – opowiada babcia. W 1944 r. zaszła z nim w ciążę, a w marcu 1945 roku urodziła syna, Ryszarda.

„On wraca do Polski!”

Dla rodziny Pietrowów już w 1944 r. oczywistym było, że Niemcy przegrają wojnę. Nikt jednak nie sądził, jak tragicznie potoczą się ich losy. – Na Rugii zapanował potworny chaos. Wojna się kończyła, a wszystkich nas przerażała po-

stępująca Armia Czerwona. 9 maja 1945 r. ogłoszono, że wojna się zakończyła. Sowietci postawili sprawę jasno. Jesteśmy Polakami i mamy wracać do Polski. Żadne z nas, przywiezionych do Niemiec jako dzieci nawet nie znało polskiego języka! – opowiada babcia ze łzami w oczach. 11 maja 1945 r. rodzina Pietrowów wraz z Zygmuntem Kosteckim i pozostałymi polskimi jeńcami wojennymi wyjechała z Rugii.

– Załadowaliśmy nasz dobytek na dwie duże platformy. Pozwolono nam wziąć jedynie rzeczy osobiste, trochę prowiantu, wózek i łóżeczko dla dziecka oraz dwa łózka i kilka krzeseł – wspomina babcia. – Pierwszą noc spędziliśmy w lesie niedaleko Stralsundu. Codziennie dołączało do nas więcej wozów. Z czasem było ich już 15. Przez całą drogę Sowietci rabowali co tylko się dało i brutalnie gwałcili wszystkie kobiety. Aby uniknąć losu innych kobiet musiałam udawać staruszkę. Nie mogłam się kąpać, nosiłam na głowie chustę i chodziłam zgarbiona. Przed Sowietami bronili nas także Zygmus i mój ojciec – wraca do tragicznych wspomnień babcia. Podróż przebiegała w okropnych warunkach. Jedzenia było bardzo niewiele, a na każdym przystanku Rosjanie jeszcze uszczuplali zapasy podróżnych. Twierdzili, że kontrolują czy wśród bagażu nie ma broni. – Zygmus się wściekł i zażądał, aby sowiecki oficer wydał mu zaświadczenie o tym, że byliśmy już wielokrotnie kontrolowani. Zawsze był taki narwany. Miał szczęście, że go nie zastrzelili – wspomina babcia.

Ostatnią noc 23 maja rodzina Pietrowów spędziła na przedmieściach Szczecina. Ignacy spotkał tam sowieckiego oficera, z którym bardzo długo rozmawiał. – Rano ojciec zachowywał się bardzo dziwnie – przypomina sobie babcia. Ucałował nas wszystkich, a wcześniej nie okazywał nam żadnych czułości. Powiedział, że nie przekroczymy Odry bez przepustki. Chciał sam pójść sam na komendę na Wały Chrobrego, ale Zygmus i wszyscy pozostali mężczyźni poszli razem z nim. Nie wiedzieli jeszcze, co się stanie. Gdy tylko dotarli na miejsce, zauważyli oddział NKWD wraz z sowieckim oficerem, z którym rozmawiał ojciec. Oficer spojrział na niego i tylko kiwnął głową. Wtem wyskoczyło pięciu enkawudzystów, złapali go pod pachy i wyprowadzili nie wiadomo dokąd. Zygmus zaczął wrzeszczeć: „On jest z nami! Puśćcie go! On wraca do Polski!”, Rosjanin odpowiedział: „Zamknij się, bo i ciebie zabierzemy!”. Sowietci nie chcieli ich stamtąd wypuścić, ale Zygmus wpadł na genialny pomysł! – śmieje się babcia. – Wyciągnął z kieszeni zaświadczenie o tym, że byliśmy już kontrolowani i zaczął się wydzierać, że ten oficer dał mu pozwolenie na wyjście stąd. Rosjanin, który pilnował drzwi prawdopodobnie był analfabetą, bo załapał dokument do góry nogami i pozwolił im wyjść – mówi ze śmiechem babcia. Dopiero później zrozumieli, co wydarzyło się na Wałach Chrobrego. Ignacy był białogwardzistą, który nie wrócił do kraju po pierwszej wojnie światowej. W oczach Sowietów, był

zdrajcą i dezterem. Gdyby nie zgłosił się sam, NKWD aresztowałoby nie tylko jego, ale i całą jego rodzinę. Ignacy musiał ocalić żonę i dzieci. – To była rozpacz. Cały czas liczyliśmy na to, że ojciec nas dogoni, że Sowieci go puszcza. Nie mieliśmy pojęcia, co mamy robić dalej! – wspomina ze łzami w oczach babcia. Przez wiele lat rodzina próbowała go odszukać, lecz wszelki śluch o nim zaginął. Dopiero w latach 50. otrzymali list, który zawierał informację o tym, że Ignacy Pietrow zmarł ze starości na dalekiej Syberii.

„Dom z kasztanem”

– Nie mieliśmy pojęcia o tym, że jesteśmy już w Polsce! Nikt z nas nie wiedział, że to jest Polska. Dla nas to był Stettin, nie Szczecin! – opowiada babcia. – Zygmunt powiedział, że nie możemy dłużej czekać, bo idzie noc i musimy jechać. Dojechaliśmy do Mescherin. Most na Odrze był zerwany i obok wybudowano most pontonowy. Nie mogliśmy się przedostać na drugą stronę, bo Rosjanie przeprawiali czołgi. Czekaliśmy tam bardzo długo, aż w końcu nam się udało. Potem sytuacja się powtórzyła, bo Odra ma tam dwie odnogi. Na drugą stronę przeprawiliśmy się dopiero o piątej nad ranem – opowiada babcia. – Dotarliśmy do Gryfina na dzisiejszą ulicę Łużycką. Pamiętam wyraźnie dom z okrągłym balkonem. Nie mieliśmy pojęcia, dokąd mamy jechać. Zdecydowaliśmy, że pojedziemy w kierunku wschodzącego słońca. Około osiemnastej dotarliśmy do Lubanowa. Wszystkie wozy stanęły koło kościoła i szukały miejsca na dłuższy postój. Mama chciała, żebyśmy jechali dalej, do jej rodzinnej Wielkopolski. Trzeba jednak było odpocząć. Znaleźliśmy miejsce dla naszych koni i wszyscy poszliśmy do świetlicy – wspomina babcia. Prawie zupełnie obcy ludzie spali razem w jednym pomieszczeniu. Myśleli, że Lubanowo to ich chwilowy postój i wkrótce wyruszą w dalszą podróż. W nocy usłyszeliśmy rzenie koni. Zygmunt poszedł zobaczyć, co się stało. Okazało się, że pewien Rosjanin zabrał sobie naszego konia. Zygmunt zaczął wrzeszczeć, ale żołnierz wyjął pistolet i powiedział, że go zastrzeli, jeśli się nie uspokoi. Tak oto zostaliśmy tylko z jednym koniem – opowiada babcia. – Tej nocy była straszliwa burza. Widzieliśmy, jak pali się stodoła, ale nikt jej nie gasił. Czekaliśmy do rana i nie wiedzieliśmy, co mamy robić dalej. Rano zaświeciło słońce. Była przepiękna pogoda, jakby zupełnie nic się nie stało.

Marianna zabrała z Rugii kilka butelek bimbru. Jedną z butelek dała Zygmuntowi, aby kupił za nią konia. W owym czasie w Baniach urzędował już wójt. Tego dnia przebywał akurat w Lubanowie. Zygmunt poszedł do niego i opowiedział, co spotkało jego bliskich. – Wójt powiedział: „Nigdzie nie pojedziesz, bo tu jest Polska i tu macie się osiedlić. Tu są wolne domy, wybierz sobie

jeden i powieś na drzwiach kartkę, że jest zajęty przez Polaka”. Zygmus upierał się, że rano chcemy jechać dalej, ale wójt oświadczył mu, że rano koło cmentarza będzie stała już warta i nikt nie przejedzie.

Zobaczyliśmy, że po drugiej stronie drogi stoi dom, przed którym rośnie ogromny kasztan. Jak tu było pięknie... – babcia coraz bardziej pogrąża się we wspomnieniach. Rozmawialiśmy z bratem po niemiecku o tym, jak bardzo chcielibyśmy zostać w tym domu. Zygmus wrócił i powiedział nam, że nie możemy jechać dalej – opowiada babcia. Postanowiliśmy zostać tu przez kilka dni, a potem ruszyć w dalszą drogę. Zamieszkaliśmy w „domu z kasztanem”. Podczas wojny dom służył za lazaret. W dużym pokoju stało dziesięć szpitalnych łóżek. Pościel była zakrwawiona, a na każdym łóżku znajdowały się fekalia. Zaczęliśmy robić porządki. – Udało nam się znaleźć cynkową wannę. W domu nie było prądu, ale mama podgrzała na kuchni wodę do kąpieli. Miałam na sobie pięć sukienek, spódnicę mamy i chustę na głowie, bo bardzo bałam się, że Rosjanie mogą mnie zgwałcić. Teraz wreszcie mogłam się rozebrać i wykąpać. To było najprzyjemniejsze uczucie w moim życiu – wspomina babcia. Miałam walizeczkę z Czerwonego Krzyża z zestawem do pierwszej pomocy. Zygmunt urwał od niej wieko, napisał na niej swoje nazwisko i przybił ją do drzewa. Nie zwrócił jednak uwagi na to, że znajduje się na nim czerwony krzyż. – Rosyjscy żołnierze myśleli, że mieszka tu lekarz i z czasem zaczęli do nas przychodzić po pomoc – wspomina babcia. Zygmuntowi w końcu udało się kupić konia. Zygmunt musiał podjąć decyzję. Po aresztowaniu Ignacego to on stał się głową rodziny i musiał podjąć decyzję dotyczącą dalszych losów rodziny. Zdecydował, że nie będą czekać na możliwość wyjazdu do Wielkopolski. Zostają tutaj.

„Był kiedyś krwio pijcą, ale się nawrócił i jest członkiem partii”

Wkrótce okazało się, że dom posiadał bardzo wiele zalet. Przede wszystkim był doskonale wyposażony. – W piwnicy znajdowały się kartofle i buraki. Udało nam się je nawet zasadzić. Jednak nie było łatwo – śmieje się babcia. – Gdy tylko troszkę wyrosły, Rosjanie zaczęli nam je wykopywać. Zygmus znalazł na strychu pistolet i zaczął do nich strzelać. Chciał ich przepędzić, ale gdzie tam! Wyciągnęli broń i zaczęli strzelać do niego. Innym razem Sowietci próbowali nam kraść czereśnie, więc znowu wywiązała się strzelanina. Czasami bywało tu jak w jakimś filmie – wspomina ze śmiechem babcia. Zygmuntowi udało się załatwić pozwolenie na broń niedługo po przyjeździe. Wtedy wszystko można było załatwić za bimber. Żadne pieniądze nie miały tu wartości – dodaje babcia. Żołnierze wielokrotnie próbowali odebrać

Zygmuntowi broń. Raz chcieli nawet podrzeć jego zezwolenie, ale Zygmunt sprytnie zdążył je ukryć.

– Tak zaczęło się nasze życie w Lubanowie – wspomina babcia. Niedługo potem do Lubanowa przyjechali pracownicy gminy. Okazało się, że do gospodarstwa zajętego przez Zygmunta i jego rodzinę należy pięćdziesiąt sześć hektarów ziemi. Nowi gospodarze zasadzili owies i jęczmień. Zygmunt sprowadził do domu Niemców, którzy pozostali na tych ziemiach. Pozwolił im mieszkać w domu w zamian za pomoc przy uprawie ziemi. – Pracowała u nas rodzina Ziemannów. Bardzo dobrze nam się z nimi mieszało. Niemcy znaleźli gdzieś kozę i dzięki temu mieliśmy jako pierwsi kozie mleko. Ktoś przyprowadził nam także krowę, którą znalazł w lesie. Miałam małe dziecko do wykarmienia i mleko było nam bardzo potrzebne – opowiada babcia. Krowa była w fatalnym stanie. Bardzo długo nikt o nią nie dbał i jej nie doił. Z jej wymion leciała krew. Jednak i z tym rodzina sobie poradziła. – Rosjanie pędzili bardzo wiele krów zza Odry. Pewnej nocy Zygmus poszedł do nich z naszą krową i butelką bimbru. Ku naszemu zdziwieniu rano wrócił z nową, całkiem zdrową krową – śmieje się babcia. Mieliśmy już własne mleko i masło. Pierwsze pieniądze Zygmunt zarobił dopiero we wrześniu, kiedy już wymłócili zboże.

W 1946 r. odbyły się pierwsze wybory. – Wszędzie wisiały ogromne tablice z napisem: „Głosuj trzy razy tak!”. Nie mogłam głosować, bo miałam dopiero 19 lat, więc Zygmus i mama pojechali na głosowanie sami – opowiada babcia. We wsi nie funkcjonował kościół ani sklep. Kościół nie został jednak zdewastowany podczas wojny, lecz dopiero po jej zakończeniu. – Sowieci strzelali do kościoła. Nie wiem dlaczego, oni zachowywali się jak zwierzęta. Wytłukli wszystkie szyby, zniszczyli zegar i wyrzucili ławki – babcia do dziś nie może tego zrozumieć. Kościół odbudowano dopiero w latach 60. W roku 1948 do gospodarstwa przybyli geodeci z Warszawy. Według nowego zarządzenia każde gospodarstwo mogło mieć tylko dziesięć hektarów ziemi. Naszej rodzinie przypadło tylko osiem. W Lubanowie w 1950 r. podłączono prąd, więc konie nie musiały już chodzić w kieracie. Babcia urodziła kolejnego syna Zenona. – W Lubanowie zaczął się tworzyć kolchoz. Początkowo nikt nie chciał się zapisać. Zygmus również nie chciał. Panowie z powiatu zaprosili go do siebie. Wypili trochę wódki, a potem zaczęli go zachęcać do zapisania się. Kiedy się nie zgodził, kłamali, że jeden nasz sąsiad już się zapisał. Zygmus w końcu się zgodził, czego potem żałował – opowiada babcia. Do kolchozu zapisała się tylko połowa wsi – W Lubanowie mieszkali głównie ludzie wracający z niewoli z Niemiec. Ci ludzie nie ufali komunistom i nie chcieli mieć z nimi nic wspólnego. Komuniści rozpoczęli szykanowanie gospodarzy, którzy nie należeli do wspólnoty. – Na ich domach pisano kredą „Kulaki! Krwiopijcy!”. Na całe szczęście w latach 50. kol-

choz został rozwiązany – wspomina babcia. Po rozwiązaniu kolchozu cały jego dobytek został rozkradzony. Przez wiele lat pracy Zygmunt nie zarobił prawie nic. W roku 1952 Józefa urodziła kolejną córkę Elżbietę. W Lubanowie otwarto sklep. – W roku 1959 zaczęłam pracować w sklepie – mówi babcia. Jedną z większych atrakcji było objazdowe kino. Raz w miesiącu w świetlicy wyświetlano dwa filmy, najczęściej radzieckie komedie. Zygmunt postanowił zapisać się do partii. Jednak szybko przekonał się o tym, że popełnił wielki błąd. – Kazali mu jeździć po wsiach i opowiadać, że był kiedyś krwiopicją, ale się nawrócił i jest wzorowym członkiem partii. Postanowił zrezygnować. Zygmunt był społecznikiem. Nie popierał komunizmu, chciał po prostu pomagać ludziom – wspomina babcia. Zabroniono mu ogłosić publicznie, że nie jest już członkiem partii.

Mała stabilizacja

W 1946 roku umiałam już mówić po polsku. We wsi ogłoszono, że powstaje Koło Gospodyń Wiejskich. Poszłam na zebranie. Pamiętam, że zadawano nam różne pytania. Zapytano czym powinno się karmić niemowlę. Żadna z kobiet się nie odezwała, więc ja się zgłosiłam i odpowiedziałam. W taki sposób wybrano mnie na przewodniczącą – śmieje się babcia. – Organizowałyśmy kursy gotowania, pieczenia, szycia czy haftowania, a także zabawy, na których zarabiałymy najwięcej pieniędzy. Pieniądze przeznaczałyśmy na przykład na paczki dla dzieci z okazji Dnia Dziecka. Prowadziłam też skup ślimaków i porzeczek – zdradza babcia. W Lubanowie powstała także Ochotnicza Straż Pożarna. Z czasem Zygmunt został wybrany na jej naczelnika. Udało mu się załatwić wóz strażacki – Żuka, który służył im przez wiele lat. Zygmunt organizował także czyny społeczne. Zwoływał gospodarzy i razem pracowali na przykład przy odśnieżaniu dróg. – We wsi zapanowała wielka radość, gdy w roku 1968 r. popłynęła woda z kranów. Wcześniej musieliśmy dowozić ją beczkowozami z jeziora – wspomina babcia. Rodzina prowadziła stosunkowo normalne życie. Jednak spokój i stabilizacja nie trwały długo. W latach 80. Zygmunt Kostecki postanowił dołączyć do Solidarności. Dostarczał jedzenie strajkującym w stoczni. Kiedy ogłoszono stan wojenny bardzo się bałam, że zostanie aresztowany. Działał zbyt otwarcie. Wiele osób wiedziało, że jest w Solidarności – wspomina babcia. Na szczęście dla Zygmunta i jego rodziny udało mu się uniknąć internowania. – I tak oto toczyło się nasze życie na tych ziemiach – opowiada babcia. Więcej szczegółów o życiu Józefy Kosteckiej można odnaleźć w książce jej autorstwa „Flucht ins Ungewisse”¹.

¹ J. Kostecka, K. Model, *Flucht ins Ungewisse*, Gryfino 2007.

Jest już zupełnie ciemno. Babcia dokłada do pieca, a ja wyłączam dyktafon. Pakuję swoje rzeczy i zakładam kurtkę. – Dobranoc babciu. Bardzo Ci dziękuję – zegnamy się. – Nie ma za co Emilku. Przyjedź, jeśli będziesz potrzebował więcej materiałów – odpowiada babcia. Wychodzę. Mgła stała się jeszcze gęstsza. Do domu powinienem wrócić za jakieś 40 minut. Jedno jest pewne. Dzisiaj już nie zasnę.

* * *

Paulina Olechnowska

Gimnazjum im. Janusza Korczaka w Chojnie

Mała ojczyzna mojej babci

Na lekcjach historii uczymy się o II wojnie światowej. Poznajemy daty, wydarzenia, przyczyny i skutki. Jednakże to wszystko jest takie *zimne*. Czytając podręcznik do historii, czujemy się, jakbyśmy czytali najwyżej jakieś opowiadanie. Rzadko kiedy poznajemy historię szarych jednostek. Uczymy się ogólnikowo, nie skupiamy się na życiu pojedynczych osób. O powojennych przesiedleniach w Polsce nie znajdziemy w naszych podręcznikach żadnych informacji. Nauczyciele realizują program i idą dalej. A przecież ta historia dotyczy nas samych, naszego miejsca zamieszkania, naszej tożsamości i nawet języka, którym się posługujemy.

Wielu z nas ma źródła tej historii zaraz obok siebie, na wyciągnięcie ręki. Najlepszymi nauczycielami historii są nasi dziadkowie. Od wczesnego dzieciństwa słuchałam historyjek, które opowiadała mi moja babcia. Uważam je za istny skarbiec historycznych ciekawostek i faktów wartościowych zarówno w wymiarze osobistym, jak i ogólnym.

Moja babcia pochodzi z terenów obecnej Ukrainy, z małej wsi Milczyce, położonej w okręgu lwowskim. Często słyszałam, że była to mała, jednak zadbana wioska, nad którą górował piękny i duży kościół. Znajdowały się tam łąki, rzeczki, powietrze było czyste. Zdawałoby się, idylliczne miejsce do życia. Jednakże, gdy trochę podrosłam, babcia ukazała mi to miejsce z tej gorszej strony. Milczyce były zamieszkiwane przez Polaków, którzy byli znienawidzeni przez Ukraińców. Dowiedziałam się od babci o ludziach, którzy wyszli na pole i już z niego nie wrócili. Sposoby mordów były naprawdę brutalne, niczym wyciągnięte ze scen makabrycznego horroru. Ginęły setki Polaków. Gdy patrzę na to teraz, z perspektywy własnego szczęśliwego i bezpiecznego życia, stwierdzam, że musiało się tam żyć strasznie. Wieczna nie-